

777189

PRZYJACIEL

Dwutygodniowy dodatek bezpłatny do „Katolika“.

Nr. 26.

Wtorek, 22-go Grudnia.

1903.

SIEROTKA.

W świat idzie biedna sierotka
Z oczkami zapłakanymi —
Wiatr wieje i sypie śniegiem
Po zmarzniętej ziemi.

Macocha wygnała z domu,
Zimną noc już zapada,
Przy drodze nagie topole,
Wron się zrywają stada.

W oknach goreją światła,
Zamek, jak płomień, czerwony:
Luna złocista bije
Na mury i bastiony.

W komnatach głośno rozbrzmiewa
Przesłodkie „W żłobie leży“,
Sierota zdumiona staje
U pałacowych dzwierzy.

Chce dzwonić, nie sięgnie dzwonka,
Chce pukać, za słabe dłonie:
Nikt jej nie słyszy w zamku,
Co w świetle i pieśni tonie.

Gdzie — w którą stronę się udać?
W mgłę przed nią świat daleki!
Pod murem zamkowym spocznie
I zaśnie — może na wieki!

Wiatr wieje i śniegiem sypie —
Sierotka wyteża oczy.
U stóp zamkowych chatynka
Gubi się w gęstej mroczy.

W okienku światło przygasa,
Przymilka kolenda słodka:
Otwórzcie mi dobrzy ludzie,
Ja-ć biedna jestem sierotka!

Otwarli jej drzwi sosnowe,
Wpuścili do niskiej chaty:
Ogrzej się dziecię przy ogniu,
Zjedz kasek niebogaty!

Sierotka siadła przy ogniu —
O jaki los szczęśliwy! —
I kromkę ma, a wokół
Dzieją się cuda i dziw:

W izbie, gdzie knotek przygasa
Gdzie głosu na pieśń nie stanie,
Światłość się wielka rozlewa
I setne słysząc granie.

W białych jak śnieg sukienkach
Wkraczają aniołowie,
Skrzypeczk im błyszczą w dłoni,
Korony jasne na głowie.

Kolędy precudowne
W nadziemskie płyną raje.
A w środku tego orszaku
Sam Chrystus biały staje.

Rzucił niebieskie progi,
Kościoły rzucił złote,
By podziękować biedakom,
Że w dom przyjęli sierotę.

Jan Kasprowicz.

TRZEWICZKI Z CHLEBA.

POWIASTKA GWIAZDKOWA.

Słońce właśnie zaszło, mróz zwiększał się
i Szymonowa dorzuciła drzewno na komin.
W tej chwili zapukono do drzwi: żebraczka
drżącym głosem prosiła o jałmużnę.

— Wspomogłam dziś już trzech włóczę-
gów, nie dać wam nie mogę — cierpko od-
rzekła Szymonowa.

— Choć kawałeczek chleba...

— Pracujcie tak, jak ja, to będziecie
mieli.

Kobieta mimo to nie odchodziła.

— Niech Pan Bóg opatrzy! — ostro za-
wałała Szymonowa i drzwi zatrzasnęła.

Zebraczka odeszła, prowadząc za rękę
małe chłopię, zsiniałe od zimna, wątłe i mi-
zerne.

Szymonowa żywo krzątała się po izbie,
w której panował ład, czystość i porządek,
szafy były pełne bielizny i płótna utkanego
jej ręką, ona i dziecko ubrani byli ciepło i
dostatnio. Dzięki skrzętnej i zapobiegliwej
gospodyni zamożność panowała w chacie.

Drzwi od sieni znowu otworzyły się nie-
śmiało i dziecienny głosik rzekł na pół z
płaczem:

— Choć kawałeczek chleba!

Był to ten sam mały chłopczyk. Matka go przysłała w nadziei, że może uda mu się wzruszyć serce gospodyni.

— Idź sobie i zamykaj drzwi! — ofuknęła Szymonowa, siadając do kołowrotka

Dziecko cofnęło się.

— Skaranie Boże z tymi włóczęgami — mruzczała Szymonowa, — już trzech opatrzyłam dzisiaj. Gdyby tak przyszło wszystkich wspierać, to my sami niedługo poszlibyśmy z torbami.

Zbliżyła się do komina, gdzie w kilku garnkach gotowały się smaczne potrawy na Wigilię. Daleko trzeba szukać, żeby znaleźć drugą taką gospodynię: czynna, rzadna, oszczędna, wstawiała przed świtem i kładła się spać ostatnia. Mąż jej, pracowity Szymon, miał kawałek roli, a oprócz tego był garncarzem; mogli żyć dostatnio i odłożyć nawet trochę grosza na czarną godzinę.

— Matulu — z przymileniem prosił Michałek, jedyny ich synek — daj mi trochę gliny. Zrobię z niej coś bardzo ładnego, zobaczysz!

I malec, który bardzo zręcznie lepił z gliny rozmaite przedmioty, uwiesił się u szyi matczynej, powtarzając:

— Daj, matusiu, daj!

— Nie mogę mój jedyny, glina jest zmarznięta.

— Kiedy ja chcę koniecznie — nalegał malec i uderzył w piązek.

— Bądź grzeczny, Michałku — upominała matka — czekaj, zaśpiewam ci piosenkę o wilku.

— Nie chcę!

— Opowiem ci bajkę o zbójcach.

— Nie chcę! Gliny, matusiu, daj gliny.

Zaczął się zanosić od piączu, trąc sobie oczy piąstkami. Matka tymczasem przędła i myślała o przyszłości chłopca.

Jaki on zdolny i zręczny, ten mój synek najmilszy! Sliczne rzeczy umie lepić z gliny, choć nikt go tego nie nauczył. Będzie kiedyś garncarzem, jak jego ojciec, a kto wie, może będzie czemś więcej! Może potrafi ulepić Matkę Boską z Dzieciątkiem, Aniołów i Świętych Pańskich, takich samych jak ci, którzy stoją na ołtarzu w naszym kościele!

Widząc, że Michałek nie przestaje płakać, wstała od kołowrotka, poszła do szafy i rozkrawawszy chleb, dała dziecku cały ośrodek.

— Masz — rzekła — możesz z tego lepić co ci się podoba.

Chłopiec od razu się uspokoił i wkrótce pokazał matce śliczną parę trzewiczków; ulepionych z chleba.

— Ach! jakie ładne! jakie zgrabne! — unosiła się matka — postaw je na stole, żeby ojciec zobaczył.

W kilka chwil później nadszedł Szymon, ale czegoś smutny i zgryziony.

— Biedni ludziska! — westchnął, rzucając czapkę na stół.

— Co się stało? — zagadnęła żona.

— Na drodze, za wsią, znaleziono dwoje zmarzniętych biedaków. Obdarło było, głodne; i pomyśleć, że to dziś właśnie w samą Wigilię, kiedy wszyscy się radują, oni pomarli z głodu.

— Kto to był? — pytała Szymonowa i przestała prząść.

— Jakaś biedna kobieta, pewno w twoim wieku i chłopiec nie większy od naszego Michałka. Musiała czuć, że śmierć nadchodzi, gdyż owinęła dziecko spodnicą i przytuliła je do piersi. Nie można było ich rozzerwać... Jezul! jaka to nędza jest na świecie.

Michałku, który uważnie słuchał opowiadania ojca, przestał się bawić: Szymonowa pobladła i z zabobonną trwogą spoglądała na trzewiki z chleba, które przy blasku ognia wydawały się czerwone jak krew.

Usiedli do uczty wigilijnej, ale nikomu nie szły do ust smaczne potrawy, mimowoli przypominali sobie zmarzniętą żebraczkę z dzieckiem i ciężko im było na sercu.

Wieczorem Michałek zaczął się skarżyć na głowę, twarz miał rozpaloną, ręce jak lód zimne. Złowrogi kaszel dusił go od czasu do czasu. Szymonowa położyła go do łóżka, ale pożerał ją niepokój. Dzieci w tym roku chorowały na krup i na dyfterytys, niejedna mała mogiłka przybyła na wiejskim cmentarzu.

* * *

Była noc, świerszcz odzywał się w kominie. Strwożona Szymonowa pochyliła się nad łóżeczkiem synka: spał spokojnie, zdrow i żywy. W uniesieniu wdzięczności padła na kolana i składając ręce, gorąco dziękowała Bogu, że to był sen tylko.

— O Panie! oszczędź mi tej boleści, zachowaj mnie od nieszczęścia!... Co ja bym poczęła bez mego Michaśka, bez mego synka najmilszego!

Nagle palący rumieniec oblał jej licę. Przypomniała sobie żebraczkę, która nie mogąc uratować dziecka od śmierci, umarła z nim razem.

Surowy głos sumienia zapytał się:

— Coś uczyniła dla biedaków, którzy wczoraj pukali do drzwi twoich?

— Przebacz mi Boże! — wołała, łkając. Płacz matki obudził chłopca.

— Co tobie, matusiu? — pyta zdziwiony.

— Myślałam o tej biednej kobiecie, która tu była wczoraj z dzieckiem.

— Poszli pewnie do nieba, prawda? — mówił chłopiec — tam nie ma zimy.

Dzień zawitał, jasny, lecz mroźny, szyby w okienkach pokryły się kwiatami z lodu, błyszczącymi na słońcu, jak dyamenty.

— Matusiu! matusiu! zawołał nagle Michaś, który ciekawie wyglądał na świat Boży — oni idą koło naszego domu.

Zdumiona kobieta pobiegła do okna i istotnie poznała kobietę, która wczoraj u jej drzwi zebrała. Wyszędzszy za wieś, z głodu i zima jak nieżywa upadła na drodze i tak ją znaleźli ludzie. Nie była to jednak śmierć, lecz zemdlenie.

Szymonowa wybiegła przed dom i zawołała na nich. Posadziwszy przy ogniu, nakarmiła, ubrała w ciepłą odzież i włożywszy im w sakwy żywności, obdarzyła gotówką.

Zebraćka dziękowała ze łzami.

— Daj pokój — przerwała Szymonowa — zapłaciłaś mi już spokojem sumienia. Jeśli po drodze spotkasz jakich ubogich, powiedz im, niech przyjdą do naszej chaty, bo ksiądz pleban naucza, że za jeden grzech takomstwa trzeba odpokutować, całą kopą miłosiernych uczynków.

Gdy zasnęła, zdawało się Szymowej, że rok minął i znowu nastąpiła Wigilia Bożego Narodzenia. Już dzwony wzywają na Pasterkę, kościół jest pełen, brak tylko Szymonej. Została w swojej chacie i siedząc przy ogniu, płacze gorzko.

— Michaiku, mój Michaiku! — powtarza jak obłąkana — i czemu śmierć cię zabrała? Czy źle było u matki? O! ja nieszczęśliwa sierota.

Rok już minął, a jej się zdaje, że to wczoraj dała mu krzyżyk w zastygłe rączki. Zimny był i blady, ale piękny, jak anioł w niebie. Ubrała go w nową białą sukienkę, a na nogi włożyła mu trzewiczki, które sam ulepił z chleba.

Odkąd synka wnieśli do mogiłki, radość uleciała z chaty. Myślała że będzie kiedyś rzeźbiarzem, sławnym, bogatym, a teraz wszystkie te rojenia przepadły!

Wtem drzwi otwierają się z cicha. Szymonowa podnosi twarz zalaną łzami i na progu widzi swego synka: bardzo blady, oczy ma przymknięte, ale w złożonych rączkach trzyma złożony krzyżyk.

Szymonowa chce się rzucić na niego, przycisnąć do serca, upieścić, ale jakaś siła niezłama przykuwa ją do ławy.

— Zlituj się matko, zdejm mi trzewiczki z chleba — mówi Michaś zbolalym głosem.

— Chodź tu mój synku, moje złoto, mój skarbie!... Chodź do mnie!

— Nie mogę, matko, nie mogę.

— Dlaczego? Dziecko zawsze może przyjść do matki. Chodź!

Wyciągała do niego ręce ale Michaś stał jak przykuty na jednym miejscu.

— Matko, zdejm mi te trzewiczki. Są tak ciężkie, że Aniołowie, co zanoszą wszystkie dziatki do nieba, nie mogą mnie unieść z ziemi.

— Ach! — krzyknęła nieszczęśliwa kobieta — ja uwolnię cię od tego ciężaru.

Dobyła wszystkich sił, żeby powstać, i obudziła się.

ROZMAITOŚCI

* Żebractwo w Rosyi. Niedawno wyszedł w Petersburgu tom prac komisji ministerstwa sprawiedliwości, wyznaczonej do zbadania środków walki z żebractwem zawodowem.

Według materyałów urzędowych, zgromadzonych w tym tomie, doświadczony żebrak w Moskwie zarabia dziennie 3 ruble, po wsiach zaś dochody żebraków wynoszą 800—1000 rubli rocznie.

Jak dalece opłaca się żebractwo w Moskwie, poucza fakt, iż rzemieślnicy, pobierający w warsztatach po 1 i pół rubla dziennie, usuwają się od roboty na czas Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, ażeby puścić się na żebractwo, dające im po 3 ruble dziennie.

Żebractwo w Moskwie urządzone jest najzupełniej prawidłowo.

Według p. Lewenstima, którego pracę zamieściła komisja w tomie I, w Moskwie istnieją: szkoła żebraków i t. j. szkoła ucząca żebrac, biura wywiadowcze żebraków itp.

Największe dane z r. 1877 wykazują, że w Rosyi znajduje się 800000 żebraków, których dochody czynią w stosunku 25 kopiejek na jednego — 27371000 rubli rocznie. Według p. Niedochowskiego liczba ta powinna być dziesięciokrotnie zwiększona z uwagi na wielkie wydatki ludności w naturze na żebraków: w gub. kałuskiej np. wydatki te czynią 2 ruble corocznie na mieszkańca, w tym stosunku więc na 115 mil. ludności wypada 230 mil. rubli.

Wydawnictwo ministerstwa kreśli też charakterystykę głównych typów żebraków, np. „podko-

ściślnych“ i „cementarników“, którzy tworzą zwartą falangę, niedopuszczającą nikogo w swoje szeregi, dalej „garbatych“ (wyrażenie petersburskie) i „jerolimian“, czyli rzekomych pielgrzymów, których mnóstwo posiada zwłaszcza Moskwa i którzy trudnią się także sprzedażą rozmaitych relikwii, a wreszcie typy „pogorzalców“ i „przesiedleńców“, którzy naturalnie nigdy ani nie byli ofiarą pogorzelci, ani nie mieli zamiaru przesiedlić się.

Najwstrętniejszym atoli jest typ „kalek“, których bractwo dobiera sobie najwstrętniejszych członków ze wszystkich kątów państwa. Do tej grupy trafiły już nawet zasady kapitalizmu. W Pskowie np. na 4 do 7 dni przed jarmarkami lub uroczystościami kalecy gromadzą się na targ i tu sprzedają się przedsiębiorstwom żebraczym. Przedsiębiorca wybiera sobie najbardziej oszpecone osobniki i wynajmuje na czas jarmarku, płacąc po 3, 4, 5, a nawet i po 10 rubli dziennie! Zdarza się nieraz, że zamówiwszy partycję, przedsiębiorca odstępować ją z zyskiem innemu „kucpowi“. Są też wypadki, że kalecy sami zawierają stowarzyszenie i „pracują“ na własny rachunek. W takiej spółce żebrak z koniem, wiedźma i wróżbita, jako mogący więcej zarobić, otrzymują po 2 działy w zyskach.

Są też między żebrakami i „pisarze“, tj. układający prośby do osób litościwych i zbieracze ofiar na budowę świątyń; ludność męska wsi Piawoczne Jezioro rzuciła rolę i wszystka poszła „na żebrzy“, rekrutując się w szeregi zbieraczy ofiar. Takich wsi „Prace“ komisji przytaczają kilka.

* **Człowiek i wola.** Większą część ruchów i czynów wykonywamy zupełnie bezwiednie bez żadnego udziału woli i świadomości. Człowiek od urodzenia jest automatem; będąc niemowlęciem, ssąc pierś matki, działa jak machina, nikt bowiem go nie uczył, w jaki sposób ma ściągać usta, ażeby otrzymać pożywienie.

Włożmy niemowlęciu palec w usta, a tak samo ssąc go będzie, gdyż dotknięcie jego ust wywołuje ruchy mimowolne. Nietylko one działają bezwiednie. Przypatrzmy się dorosłemu człowiekowi, który połyka kawałek chleba lub mięsa, a przekonamy się, że czynność ta u niego jest zupełnie nieświadomą. Wiemy o tem wszyscy, że człowiek instynktownie przymyka oczy, jeżeli w nie wpadnie owad lub pyłek; nie potrzeba nawet dotknięcia obcego ciała, samo uczucie niebezpieczeństwa wywołuje ten sam automatyczny ruch. Pliniusz zauważył, że na dwudziestu gladiatorów (siłaczy), osmnastu zamyka oczy w chwili, kiedy im zagraża cios śmiertelny.

Wiadomo, że nie w naszej mocy jest błędnąć i rumienić się w chwilach wzruszenia, drobne naczynia krwionośne napełniają się krwią — ztąd powstaje silniejsze zabarwienie twarzy. Nietylko twarz zdolna jest rumienić się, lecz także każdy organ, do którego, wskutek podrażnienia, napływa krew. Żołądek podczas trawienia, tak samo gruczoły ślinowe podczas żucia, stają się czerwieniejsze.

Strach, przerażenie, zmartwienie drażnią tkankę mózgową, wskutek tego krew napływa do niej silniej, naczynia krwionośne się opróżniają i twarz błędnie. Nietylko wzruszenie, ale każda praca

umysłowa, każdy wysiłek, każde nateżenie myśli, wywołują napływ krwi do mózgu. Nawet we śnie powtarza się to zjawisko: otwarcie drzwi, kasznięcie, potrącenie krzesła, szept, słowem najłżejsze wrażenie sprawia, że krew natychmiast w większej obfitości podąży do głowy. Przekonano się o tem za pomocą przyrządów, które wskazują najmniejszą zmianę w krążeniu krwi.

Pisanie także, przy którym wykonywamy tyle różnorodnych a szybkich poruszeń; jest czynnością automatyczną; każdemu nieraz się zdarzy pisać, nie myśląc wcale o tej czynności; wtedy ręka bezwiednie wykonywa ruchy, z których powstaje pismo. Weźmy codzienne czynności przy ubieraniu się; są one machinalne i odbywają się najczęściej nieświadomie, kiedy myśl jest czem innym zajęta.

Ribot opowiada o pewnym wiołoncezeliście, który podlegając zawrotom głowy, podczas grania w orkiestrze, jakiś czas zdołał utrzymać się w takcie, pomimo że nie miał już przytomności.

* **Śluby umarłych.** Chiny, jak wiadomo, kraina wszelkich dziwactw pod względem zwyczajów i obyczajów, pozostają w najzupełniejszej sprzeczności z Europą. I tak na przykład: podczas żałoby noszą szaty białe, na konie wsiadają od prawej, nie od lewej strony, jak jest zwyczajem w Europie, obiad zaczynają od deseru, a kończą na zupie itp. Lecz to drobnostki, istnieje bowiem w Chinach zwyczaj, przechodzący wszelkie granice dziwactw. Jest to tak zwany „ślub zmarłych“. — Chińczycy, wierzą głęboko, iż życie pozagrobowe dla człowieka nieżonatego przedstawia wiele nieprzyjemności, każdy więc szanujący się obywatel „Państwa Niebieskiego“ stara się przykrości owych uniknąć, zawierając wcześniej związki małżeńskie; jeśli zaś tego nie zdoła uczynić i umiera nieżonatym, troskliwa rodzina stara się złemu zaradzić w następujący sposób: wyszukują natychmiast kobietę niezamężną, zmarłą w tymże dniu, co i ów nieżonaty Chińczyk. Następnie wnoszą ją do domu, w którym znajdują się zwłoki jego, ustawiają obok rżędem i odbywa się ślubna ceremonia podług zasad rytuału chińskiego. — Później nowozaślubionych wynoszą i cmentarz i są ogromnie zadowoleni, że zmarłemu oszczędzili wiele pozagrobowych przykrości.

ŻARTY.

* **Dobra myśl.** Dobre pomysły zawsze się oplacają. Naprzykład inżynier N. miał świetną myśl i zarobił milion.

— Jakim sposobem?

— Bo ożenił się z panną, która mu wniosła milion w posagu.

* * *

* **Łatwo.** No jakże ci się powiodło na egzaminie?

— Bardzo dobrze, bo odpowiedziałem na wszystkie pytania.

— Jak doszedłeś do takiej wprawy?

— Bardzo łatwo. Odpowiadałem zawsze: „nie wiem“.